

UCZEŃ Z ZABURZENIAMI PSYCHICZNYMI

Dzieci z zaburzeniami zachowania są obecne w każdej społeczności szkolnej. Niektóre z nich wyróżniają się nadmierną impulsywnością, trudnościami w przestrzeganiu zasad czy agresywnymi reakcjami, co może utrudniać funkcjonowanie nie tylko im samym, ale również całej klasie. Rola wychowawcy w takich sytuacjach jest kluczowa – to właśnie on, dzięki swojej wiedzy, empatii i odpowiednio dobranym działaniom, może stworzyć warunki do zmiany i rozwoju dziecka. Odpowiednia diagnoza problemu, konsekwencja oraz indywidualne podejście przynoszą realne rezultaty, choć często wymagają cierpliwości i zaangażowania całego zespołu pedagogicznego. W niniejszym artykule przeanalizujemy przypadek chłopca z zaburzeniami zachowania oraz szczegółowo przyjrzymy się działaniom podjętym przez jego wychowawczynię. Omówimy, jakie kroki okazały się skuteczne i jakie wnioski można wyciągnąć, by lepiej radzić sobie z podobnymi wyzwaniami w codziennej pracy nauczyciela.

Wchodzę do pokoju nauczycielskiego i słyszę: „Twoja klasa to jakiś dramat. Nic na nich nie działa. Przekrzykują się jeden przez drugiego”, drugi dodaje: „Martyna chowa się pod ławkę, Ania wiecznie ma coś do powiedzenia, a Darek nie odpowiada wcale. Ja ci Iza naprawdę współczuję”. Biorę głęboki oddech i odpowiadam, że wiem i ich rozumiem. Nie jest łatwo. Dzieci z dysfunkcjami jest wiele, w klasie są też problemy społeczno-emocjonalne i dzieci z Ukrainy, które również trzeba otoczyć opieką. Tłumaczę, że obserwuję uczniów, działam z Zosią (pedagożką), podejmujemy środki zaradcze. Rozmawiamy z rodzicami, rekomendujemy badania w poradni, konsultujemy z psychologiem i psychiatrą, kontaktujemy się z kuratorem. „Dajcie mi czas. Kiedyś będzie lepiej, ale na tę chwilę nie umiem jeszcze powiedzieć, kiedy...”.

Parzę kawę, dolewam mleka i wypijam kilka łyków. Wychowanie to nie machnięcie czarodziejską różdżką, to proces – czasem długotrwały. Czasem, przy współpracy rodziców, szybko widzę pierwsze efekty, a czasem, kiedy już „witam się z gąską”, zdarza się coś takiego, że muszę zacząć pracę wychowawczą od nowa. Nic nie jest jednoznaczne, gdy pracuje się z drugim człowiekiem i nic nie jest pewne. To, co działa na jednych, nie pomoże kolejnym – i na odwrót. Czasem zaiskrzy od razu, a czasem nigdy nie będzie żadnego flow i trzeba się z tym pogodzić.

Trafiają nam się różni uczniowie. W artykule opowiemy prawdziwą historię jednego z nich.



case study

Historia z Jankiem jest skomplikowana. Po raz pierwszy usłyszałam o nim na spotkaniu wychowawców klas 1-3 z osobami, które przejmą wychowawstwo w klasie 4. Chłopiec właściwie od początku zachowywał się nieadekwatnie do sytuacji. Nie pracował na lekcji, szybko się złościł, nie radził sobie z emocjami. Nie chciał pracować, wdawał się w konflikty z rówieśnikami. Błahe sytuacje, tj. delikatne stuknięcie długopisem, stawały się dla niego przyczyną do wpadnięcia w szał. Uderzał wtedy głową w blat stolika czy szafek, krzyczał, płakał, wyzywał swoją mamę. Nie dawało się go uspokoić, a atak po kilkunastu minutach przechodził. Nauczycielkę wspomagała szkolna pedagog, która dzwoniła do mamy. Matka przychodziła i zabierała syna do domu. I tak w kółko po dwa, trzy razy w tygodniu. Rozmowy z matką nic nie dawały. Twierdziła, że takie rzeczy dzieją się tylko w szkole, ponieważ Janek jest prześladowany przez inne dzieci. One mu ciągle dokuczają, a on się denerwuje. Dopiero w klasie trzeciej, kiedy inni rodzice już mieli dość popychania i uderzania swoich dzieci przez Janka, jego mama zdecydowała się pójść do poradni, w wyniku czego chłopiec kontynuował naukę w formie zindywidualizowanej ścieżki kształcenia. W taki sposób skończył klasę trzecią, a we wrześniu trafił do mojej czwartej.

Miałam cichą nadzieję, że może sytuacja się trochę poprawiła, a dziecko uspokoiło się. Szybko jednak okazało się, że zachowania, o których słyszałam, stały się prawie codziennym elementem naszego szkolnego życia. Janek przychodził rozdrażniony, przeszkadzał w prowadzeniu lekcji, a potem następował wybuch: uderzanie głową o wszystko, co było wokół. Krzyki, obrażanie matki, wulgaryzmy i wycia przypominające ranione zwierzę. Początkowo byłam przerażona i nie wiedziałam, co robić, ale szybko z pomocą przyszli mi uczniowie, którzy takie zachowanie już znali. Również się bali, ale wiedzieli, że to minie i Janek zostanie zabrany do domu. Ja natomiast widziałam w chłopcu nieszczęśliwego małego człowieka, który nie panuje nad sobą, nie ma wpływu na swoje emocje i nie wie, co czyni. Bardzo cierpi. Szybko zaprosiłam na rozmowę jego mamę, która początkowo uprzejmie wyjaśniła powody takiego zachowania syna, zrzucając winę na szkołę, czyli na dzieci w klasie 1-3. Kiedy sytuacja się powtarzała, a inni rodzice oczekiwali, by ich dzieci mogły się w spokoju uczyć i bez strachu przychodzić do szkoły, sama miałam już tego dość. Nie było tygodnia, bym nie słyszała lub nie była świadkiem „ataku” Janka. Tłumaczenia matki coraz bardziej mnie dener-

wowały, a z kolei moje sugestie zbijające jej argumenty denerwowały ją. Kręciłam się w kółko. Byłam pewna, że sama nie dam sobie z tym problemem rady, a przecież nie było to jedyne zmartwienie w mojej klasie. Inne dzieci też miały swoje problemy i oczekiwały uwagi oraz wsparcia. Poprosiłam więc o pomoc koleżankę Zosię – szkolną pedagożkę. Zaprosiłyśmy mamę Janka na rozmowę i zasugerowałyśmy przebadanie w poradni pod kątem ścieżki. Uznałyśmy, że takie rozwiązanie będzie skuteczne i przyniesie ulgę zarówno chłopcu, jak i klasie. Mama od razu stanęła okoniem. Nie zgodziła się na takie rozwiązanie, sugerując, że chcemy się chłopca pozbyć, a to wszystko nie jest jego winą, tylko dzieci, które go zaczepiają, a on się tylko broni. Po tej rozmowie czułam się fatalnie. Nasze intencje były zupełnie inne. Szukałyśmy rozwiązania.

Mijały kolejne tygodnie podobne do poprzednich. Nauczyciele wpisywali zdarzenia z udziałem Janka do e-dziennika. Ja na lekcjach wychowawczych skupiałam się na budowaniu relacji między dziećmi, tak by Janek też czuł się częścią grupy, a nie wyrzutkiem. Tłumaczyłam, że ma kłopoty i potrzebuje naszego wsparcia. Dzieci twierdziły, że go lubią, ale boją się jego ataków. Gdy zachowywał się zgodnie z normą, bawiły się z nim, pożyczwały potrzebne rzeczy. Traktowały go tak samo jak innych. Z kolei mama przychodziła coraz bardziej sfrustrowana, zła i wyczerpana. Bywała agresywna, podnosiła głos. Uznałam, że nie ma już na co czekać, tylko zobowiązać ją do konkretnych działań, aby pomóc chłopcu. Wraz z Zosią zobowiązałyśmy ją do skonsultowania chłopca z psychiatrą, ponieważ z rozmów z Jankiem wynikało, że w czasie ataku on słyszy głos, który podpowiada mu, aby zrobił sobie krzywdę, a nawet skoczył z wieżowca. Mimo że matka zbyła naszą informację słowami: „On tylko tak mówi”, zgodziła się na wizytę. Byłam przekonana, że ta konsultacja wiele zmieni i wszystkim już będzie łatwiej, ponieważ poznamy diagnozę. Kiedy kobieta wróciła z dokumentami od psychiatry, mówiąc, że Janek ma ADHD i dostał leki, wiedziałam, że nie będzie dobrze. Pracując w szkole tyle lat i widząc różne przypadki dysfunkcji, wiedziałam, że to nie jest ADHD... Zosia była tego samego zdania. Mama z kolei w stu procentach zawierzyła lekarzowi, dając nam ostro do zrozumienia, że nie mamy podważać diagnozy specjalisty. My z kolei bardzo mocno chcieliśmy wierzyć w to, że nie mamy racji. W związku z tym, że zaczynały się wakacje, uznałyśmy, że może rzeczywiście leki pomogą i za dwa miesiące zobaczymy różnicę.

Po upływie letniego wypożyczynku różnica była zauważalna, ale na gorsze. Chłopiec był jeszcze bardziej agresywny. Dostałyśmy zgodę od matki na przytrzymanie Janka, by nie zrobił sobie krzywdy podczas ataku. Krzywd natomiast doznawałyśmy my, ponieważ chłopiec był duży i silny, a pod wpływem jego szarpania się obrywały nasze wnętrności. Szybko wezwałyśmy mamę na kolejną rozmowę. Tym razem zobowiązałyśmy ją do poszukania wsparcia w centrum zdrowia psychicznego w naszym mieście. Same skontaktowałyśmy się z ośrodkiem, relacjonując przypadek Pawła. Kiedy już był zbadany przez psychiatrę i psychologa, poprosiłyśmy mamę o zgodę, panie badające skontaktowały się też z nami. Zarekomendowałyśmy również mamie kontakt z psychologiem, by mogła pomóc sama sobie. Widziałyśmy, że jest wykończona, a jej agresja była wynikiem sytuacji z synem, która stawała się beznadziejna. Kobieta mogła liczyć tylko na wsparcie własnej matki, która często przychodziła po Janka do szkoły, czekała na niego na korytarzu lub odbierała go na nasze wezwanie po ataku. Matka chłopca skorzystała z naszej porady. W tym czasie odbyłyśmy spotkanie z paniami badającymi chłopca w centrum, podczas którego dowiedziałyśmy się, że one również są mocno zaniepokojone. Szczególnie szokujący okazał się obrazek Janka namalowany podczas konsultacji z psychiatrą. Był to pokój bez okien obryzganym krwią, a na łóżku leżała czarna postać. Lekarka wykluczyła ADHD, stwierdzając depresję. Janek otrzymał nowe leki i systematyczną terapię psychologiczną. Znowu wzrosła w nas nadzieja, że może tym razem... Tygodnie mijały, a leki i terapie nie przynosiły efektów. Mama, wykończona już tym wszystkim, w końcu przyznała, że w domu takie ataki Janek ma nawet kilka razy dziennie. My z Zosią w wyniku wielu rozmów doszłyśmy do wniosku, że skoro nic nie działa, należałoby umieścić Janka w szpitalu psychiatrycznym. Lekarze będą go mogli oglądać w sytuacjach dnia codziennego (podczas zajęć, posiłków, zabaw z rówieśnikami) w dłuższym okresie. Mama na wieść o tym pomysle powiedziała stanowczo NIE.

Mijały kolejne tygodnie i nadal z Jankiem było fatalnie. Mama nie dawała się namówić na szpital. Byłam wyczerpana i zła. Do tego nawarstwiały się problemy dnia codziennego. W końcu zdecydowałam, że czas podjąć odważne kroki. W uzgodnieniu z Zosią i dyrekcją szkoły napisałam pismo do sądu rodzinnego, opisując problem. Mama Janka wpadła w szał, czemu nie omieszkała dać wyrazu. W jej oczach byłam najgorsza. Postanowiła przenieść go do innej szkoły, ale udało mi się ją odwieść od tego pomysłu. Argumentowałam, że dobrze go znamy i wiemy, jak z nim postępować, a w innej szkole będą przechodzić wszystko od początku. Poza tym chodziło o życie i zdrowie dziecka – mojego ucznia, który wołał o pomoc całym sobą. Decyzją sądu rodzinnego Janek miał zostać umieszczony w szpitalu psychiatrycznym na okres czterech tygodni w trybie pilnym. Jako że taki tryb właściwie nie istnieje,



trzeba było czekać. Otrzymał miejsce i któregoś poniedziałku rano miał się stawić na oddziale. Okazało się,

że się nie stawił. Mama postanowiła nie umieszczać go w szpitalu. Otrzymała decyzję, że musi zawieźć dziecko na hospitalizację, ponieważ w przeciwnym razie będzie on zawieszony w asyście policji... Z duszą na ramieniu czekałyśmy na informację, co się zadziało, ale tym razem mogłyśmy odetchnąć z ulgą – Janek trafił do szpitala. Diagnoza lekarzy po miesięcznym pobycie wskazywała na zaburzenia lękowo-depresyjne oraz początki choroby psychicznej. Janek wrócił z szerokim opisem szpitalnym oraz nowymi lekami i zaleceniami. Miał zostać przebadany w poradni, być pod opieką psychiatry i korzystać z terapii o charakterze psychologicznym. Sam był bardzo szczęśliwy, ponieważ twierdził, że w końcu ktoś wie, co mu dolega. Poradnia wydała decyzję o zespole Aspergera. Janek dostał możliwość realizowania obowiązku szkolnego w formie ścieżki, co go bardzo ucieszyło, ponieważ twierdził, że szum i hałas bardzo utrudniają mu funkcjonowanie.

Po czterech tygodniach okazało się, że jest lepiej. Leki zaczęły działać. Ataki były rzadsze i zdarzały się w domu. Nie były dla niego już takie wyczerpujące emocjonalnie i fizycznie. Mama z kolei wiedziała, jak reagować, jak je przetrwać. Terapia i opieka nowego psychiatry przyniosły skutki. Janek zaczął chodzić na piłkę nożną i cieszyć się, że zaczyna żyć jak każdy nastolatek. Otrzymywał pozytywne oceny, więc miał już na swoim koncie pierwsze sukcesy. W przypadku spadku formy ze szkoły natychmiast odbierała go mama. Małymi krokami wychodził na prostą. A mama? Mama przeprosiła za swoje zachowanie. Napisała nawet wiadomość na e-dzienniku, że jest nam wszystkim bardzo wdzięczna. Jej terapia również przyniosła skutki. Zmieniła się jej postawa i wyraz twarzy. Coraz częściej się uśmiechała, zaczęła nam ufać i doceniać. Ja natomiast poczułam ulgę. Blisko dwa lata udreki dały w końcu nadzieję. Byłam też bardzo wdzięczna Zosi, że mnie wsparła. Gdyby nie ona, byłoby mi bardzo trudno.

Z rozmyślań wyrwały mnie dobiegające zza drzwi głosy rozmów. To rodzice moich podopiecznych zbliżali się do sali. Mam im sporo do powiedzenia, więc chyba znowu z zebrania wyjdę jako ostatnia w szkole...

PS Imiona bohaterów zostały zmienione.

Izabella Bartol

Nauczycielka języka polskiego w Szkole Podstawowej nr 5 w Pile, socjoterapeutka, doradca metodyczny w piłskim Centrum Doskonalenia Nauczycieli. Swoim doświadczeniem dzieli się na blogu www.polskizklasa.pl. Członek grupy Superbelrzy RP.